



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

ST. KRAMSZTYK.

O zaćmieniach słońca i księżyca.

Przed tygodniem, dnia 30 sierpnia, miało miejsce zaćmienie słońca, a wielu czytelników naszych zaopatrzyło się w szkła okopcone, by pod tą osłoną oko bezpiecznie śledzić mogło zmiany, jakim podczas zjawiska tego ulega jaśniejąca tarcza dziennej gwiazdy naszej.

Na nieszczęście, zupełnie tym razem słuszną ciekawość naszą zadowolenia nie zyskała,—gęsta powłoka chmur zasłoniła nam widok słońca i zaćmienie zaćmiła.

Zbyt jednak ubolewać nie mamy powodu. Było to bowiem u nas zaćmienie tylko częściowe, które bynajmniej nie jest zjawiskiem

rzadkiem i nieraz będziemy je mogli obserwować. Tymczasem pocieszać się możemy bez zazdrości tem, że w Hiszpanii, gdzie zaćmienie było całkowite, pogoda sprzyjała zupełnie, a uczeni astronomowie prowadzić mogli bez przeszkody dostrzeżenia i zdołają ztąd zapewne rozwikłać niejedną tajemnicę słońca, które nas tak sownie światłem i ciepłem darzy.

Pani jedna, która spóźniła się do obserwatorium i przybyła już po zaćmieniu, prosiła dyrektora, by był tak grzeczny i zaćmienie raz jeszcze dla niej powtórzył. Podobnie jak ten dyrektor, redakcyja nasza na żądanie czytelników zaćmienia słońca na nowo wywołać nie może; poprzestać musimy na wyjaśnieniu tylko tego zjawiska, byśmy umieli zdać sobie z niego sprawę, gdy znowu nastąpi.

Każdemu wiadomo, że zaćmienie słońca przypada, gdy nam je księżyc zasłania; rozpatrzmy tedy, w jakich warunkach księżyc tak



Obserwatorium astronomiczne w Warszawie.

niegrzeczne zająć może położenie. Może to oczywiście zdarzyć się wtedy tylko, gdy księżyc znajduje się między słońcem a ziemią, a to ma miejsce na nowiu. Że podczas nowiu księżyc zajmuje stanowisko pośrednie między ziemią a słońcem, wiedzą to dobrze dawniejsi czytelnicy nasi, rozpatrywaliśmy bowiem przed kilku laty obieg księżyca dokoła ziemi; chociażby jednak kto nie zastanawiał się dotąd nad tym ruchem księżyca, zrozumie to łatwo, skoro przypomni sobie, że po nowiu, gdy księżyc przedstawia się nam jak wązki sierp tylko, ukazuje się wieczorem na zachodniej stronie nieba, w tejże jego okolicy, gdzie dopiero co słońce zaszło, wraz z niem zatem po jednej stronie ziemi przypada. Tak samo tedy dzieć się musiało i dnia poprzedniego, w chwili samego nowiu, gdy księżyc, zwrócony ku nam stroną swą przez słońce nieoświetloną, zupełnie był dla nas niewidzialny.

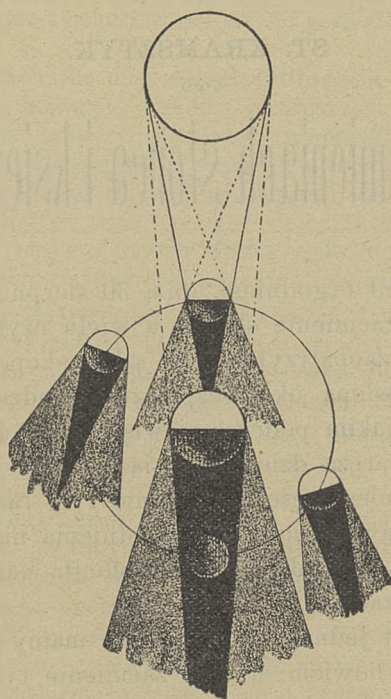
Podczas nowiu zatem księżyc przypada między nami a słońcem i zasłonić nam je może w części lub całkowicie, mamy więc zaćmienie słońca, częściowe lub całkowite. Położenie takie zajmuje księżyc tylko podczas nowiu, wypływa ztąd tedy ważny ten wniosek, że zaćmienie słońca mieć może miejsce podczas nowiu jedynie.

Ale i o tem wie każdy, że księżyc jest bryłą stosunkowo niewielką, znacznie od ziemi naszej mniejszą, gdy znów względem słońca jest ziemia w stosunku takim, jak ziarnko pszenicy wobec całego jej korca. Jakżeż więc, słusznie zapytać możemy, drobiazg taki jak księżyc zakryć może przed wzrokiem naszym cały ten ogrom słoneczny? Odpowiedź nie wymaga namysłu długiego,—przecież i drobny skrawek papieru zasłonić nam może okno, jeżeli go dostatecznie do oka zbliżymy. Tenże stosunek powtarza się, gdy idzie o słońce i księżyc; księżyc jest drobny, a słońce wielkie, ale też księżyc jest blisko, a słońce daleko, może nam je zatem zakryć całkowicie. Widzimy przecież, że pozornie tarcza księżyca wydaje się takież wielkości, jak i tarcza słońca.

Ale nasuwa się inne jeszcze pytanie, które również wyjaśnienia wymaga. Księżyc obiega ziemię dokoła w ciągu miesiąca, co miesiąc przesuwa się między ziemią a słońcem, co miesiąc tedy nów się powtarza, a stąd i zaćmienie słońca powinnyby co miesiąc następować; dla czegoż więc tak się nie dzieje, dla czego zaćmienie nie na każdym ma miejsce nowiu? Odpowie nam na to tenże sam skrawek papieru, który między okiem a oknem trzymamy. Możemy go przecież przesuwać w górę i na dół, podnosić go i obniżać; zajmuje wciąż położenie

pośrednie między nami a oknem, ale zakrywa je przed wzrokiem wtedy tylko, gdy znajduje się w kierunku wprost od oka do okna idącym, czyli, jak mówimy, na linii od oka do okna poprowadzonej. Podobnie i księżyc na każdym nowiu mieści się między ziemią a słońcem, ale nie zawsze znajduje się wtedy tuż na linii te dwie bryły łączącej; zwykle jest nieco wyżej lub niżej, a położenie, w którym istotnie zaćmienie spowodzić może, następuje się dosyć rzadko. Zaćmienie słońca być może li tylko na nowiu, ale niekoniecznie być musi.

Gdy mowa o zaćmieniu słońca, niepodobna pominąć i zaćmienia księżyca, które wszakże stanowi objaw nieco odmienny. Księżyc zaćmiony nie jest bynajmniej przed wzrokiem

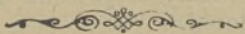


naszym zakryty, zasłonięty; staje się niewidzialnym dla tego tylko, że ziemia odgradza go od słońca i nie dopuszcza doń promieni słonecznych; jak każda bryła nieprzezroczysta ziemia rzuca poza siebie smugę cienia, a gdy księżyc w cień ten wkracza, traci blask, którym go słońce oblewa, i niknie dla wzroku naszego. Cień ziemi przypada zawsze po stronie od słońca odwróconej, zaćmienie więc księżyca wtedy tylko nastąpić może, gdy księżyc względem ziemi przypada po stronie przeciwnej, aniżeli słońce, a to ma miejsce podczas pełni. Wie o tem każdy, kto widział wschodzący na pełni księżyc i pamięta, że wschodzi on wtedy wieczorem, w tej samej chwili właśnie, gdy słońce po przeciwnej stronie nieba zachodzi. Księżyc na pełni przedstawia nam pełną, kołową swą tarczę, zwrócony jest bowiem ku nam całkowicie stroną swą przez

słońce oświetloną; gdy jednak wtedy znajdzie się w cieniu, który ziemia poza sobą ciągnie, promienie słoneczne nie dobiegają do niego, blask swój traci, staje się ciemnym i z oczu nam niknie. Zaćmienie przeto księżycy mieć może miejsce na pełni jedynie, ale znowu niekoniecznie miejsce mieć musi, księżyc bowiem, chociaż po przeciwnej stronie ziemi względem słońca przypada, pozostawać może zewnątrz jej cienia i w rzadkich tylko okolicznościach w cieniu tym się kryje.

Cośmy tu mówili, widzimy wyraźniej na załączonym rysunku, który przedstawia słońce, ziemię i drogę księżycy dokoła niej. Zaledwie nadmienić potrzeba, że stosunek wielkości tych brył nie jest tu bynajmniej zachowany; gdybyśmy chcieli wymiary słońca w należyтым stosunku do wyobrażonej tu ziemi przedstawić, zabrakłoby miejsca na papierze. Ziemia i księżyc rzucają cień poza siebie, a po obu stronach cienia zupełnego rozpościera się słabszy przycień, tak samo bowiem, jak i w cieniach rzucanych przez przedmioty ziemskie w ogólności granice nie są nagłe, ale cień zupełny stopniowo gaśnie. Cień ziemi ciągnie się na długości 180,000 mil geograficznych, księżyc zaś od ziemi oddalony jest tylko na 50,000 mil, może się zatem w cieniu jej kryć zupełnie; gdy całkowicie w ten cień wkracza, zaćmienie księżycy jest całkowite, gdy zaś niezupełnie w niem się mieści, mamy zaćmienie jego częściowe. W biegu swym dokoła ziemi księżyc oczywiście stopniowo tylko w cieniu się zanurza i również stopniowo po drugiej stronie z niego wynurza, i całkowite zatem zaćmienie od częściowego się rozpoczyna i częściowem kończy; częściej jednak księżyc przebiega tak, że częścią jedynie swej powierzchni przez cień ziemi się przesuwają, a w tedy zaćmienie pozostaje częściowem tylko.

(D. n.)



Z. Morawska.



Przygody Imć Pana Mikołaja.

Powieść z XVI w.

(Ciąg dalszy).

— Gadaj, a nie łzyj—rozkazał imć Mikołaj.

— Toć nie za wielkie co... jeno kościelny dał mi wosk, co ludzie na świece kościelne poprzynosili.

— A tyś go sprzedał Simsi,—dokończył Rej.

Pietrek miasto odpowiedzi spuścił głowę i drapał się za uchem.

Kościelny zaś oprzytomniawszy nieco, mówił.

— Wybaczcież mi miłościwy nasz wielmożny panie,—toć powiedziałem, co mają szukać Kurka, co ludzi po drogach ograbia, konie kradnie, bandę ma pono swoją, a tera w mieście się ukrywa, a oni oto...

— Schwycili pierwszego lepszego,—zakńczył Rej.

— Żebyście mi oba z Pietrkiem do zamku wojewody Tęczyńskiego się stawili. Już ja was nauczę, co to kocioł okradać, a potem uciekać i stróżami miejskiego bezpieczeństwa ostawać.

— Przecie nas radni miasta i łucznicy na tym urzędzie postawili,—począł dość hardo kościelny.

— Milcz! — krzyknął Rej.

— Nad radnymi jest j. wielmożny wojewoda i sam najmiłościwszy król,—mówił dalej butnie biorąc się pod boki.

— Jak nie przyjdziecie po dobrej woli znajdą was choćby pod ziemią, choćby w piekle, i do Topoli do jegomości odstawią,—zakńczył groźnie.

I rzuciwszy tyńfaswym opiekunom, pchnął drzwi nogą i z wielkim ferworem wyszedł na schody.

Kościelny i Pietrek wybiegli za nim kłaniając mu się do nóg i obiecując, że zaraz jutro do Topoli powrócą, byle ich tylko pod sąd j. wielmożnego wojewody nie dawał.

XXIV.

Jak imć Mikołaja wszyscy w zamku pocieszają.

Słonko czerwcowe wschodząc złocistą kulą, zwiśło nad ziemią.

Wypawszy się w niebieskiej swojej kolebie, poglądało na świat wesoło, rzucając jasne promienie. Pałazy też od nich wierzchołki drzew oddalonych lasów, wzdychały skąpane w mgłę porannej wieżyce kościołów Krakowa; jedna tylko wieżyca kościoła Najświętszej Maryi Panny złociła się już jego promieniami jako królowa koroną.

Domy na poły senne, czekały aż ręła ludzka rezewrze drzwi i okno i wpuści dobroczynne światło.

Ulice były puste.

Łacno też bez wszelkiej przygody przejeżdżał przez nie człowiek na doskonałym człapaku.

Snać noc całą był w podróży, bo przecierał sobie kułakiem niewyspane oczy, poglądając na ciche, milczące wielkie kamienie, gardząc zgola mniejszemi przytulonemi do nich domami

— Wciórności,—mruczał spluwając.

— Do trzystu wron, albo i kotów,—był tu człek, zdało mu się, że zna, łacno trafi, a tera jak w wielkim boru.

— Ani człeka,—spią,—jakby nie wiedzieli, co mi się śpieszy,—mruczał wciąż niechętnie.

Aż dzwonek wzywający na pierwsze pacierze, zajęczał na kościele Panny Maryi,

Zajęczał tęskną, uroczystą pobudką, a inne poczęły mu odpowiadać cieniutkim lub rozbitym jęklwym głosem.

— Przeciek! — mruknął do siebie ów jezdeny.

I skierował konia za najgłośniejszym.

W tem z przecznicy wyszła przygarbiona baba, za nią wlokło się kilka innych, aż i dziady schodzić się poczęły, idąc każde na swój posterunek pod kościoły licznie w stolicy rozsiadłe.

— Po zebrze idą, — od takich nic się nie dowiem, — mruknął znów pogardliwie.

Zapytał wszakże pierwszego lepszego.

— Kaj tu zamek j. wielmożnego wojewody Tęczyńskiego?

— J. wielmożnego wojewody? — przypytał dziad płaczliwym, wzbudzającym litość głosem, pogładając, czy może liczyć na jakiś datek.

— No, gadaj, — rozkazał jezdny przybierając głos i minę panka.

— Toć j. wielmożna wojewodzina, matka wszystkich ubogich, zwołuje nas na obiad co święto, — wykrztusił dziad.

— Wskazuj drogę, do stu par chudych zajęcy! — zaklął jezdny.

— Toć prosto, — potem skrócić, — potem kościół, potem ulica, potem przecznica i zaraz z niej widać wojewodzińską kamienicę.

— Żebyś zaniemowił! — rzucił mu jezdny i rozkazał:

— Prowadź! — bo na taką wskazówkę chyba ty i sam czort trafi.

— W Imię Ojca i Syna... — przeżegnał się dziadzisko, powłókł się jednakże, przynaglany do pośpiechu przez podróżnego.

Dobiwszy do zamku Tęczyńskiego, jezdny podziękował:

— Niech cię jasny piorun trzaśnie!

A w dodatku rzucił mu kawał chleba i parę jaj ugotowanych, których śnać w drodze nie dojadł.

W podwórku zamku pachółcy krzatali się koło koni, — do kuchni zwożono drwa, inna wszakże służba jako i dworzanie dosypiali jeszcze ostatniem chrapaniem.

— Zbudzić jeno imię Mikołaja Reja, — ozwał się butnie przybyły.

— A tyś co za jeden, żeby tak rozkazywać! — odparł pachółek czyszczący właśnie przed stajnią rosłego kasztana.

Przybyły zaciął usta, ale miarkując, że taka gadanina do niczego nie prowadzi zawołał:

— Powiedz, co przyjechał Pietrek z Topoli, że jegomość go przysłał, coby imię Mikołaj jak najprędzej przyjeżdżał.

Pachółek czyszczący konia podniósł wzrok na mówiącego, rzucił zgrzebło i mruknął pod nosem.

— Same jeno Pietrki śnać u tych panów.

Pietrek bowiem spotkał Pietrka, pachółka Reja, który właśnie czyścił konia.

Niebawem wielce wystraszony, z rozwichrzoną czupryną ukazał się imię Mikołaj, mrugając setnie rozspanemi oczami.

Przybyły zaś Pietrek jednym tchem mówił:

— Jegomość pojechał do Nagłowic, a mnie jako znającego miasto, pchnął coby imię duchem tyż do Nagłowic.

— Cóż się tam stało? — przerwał Rej.

— Nie wiem, jeno przybieżał konny, a jegomość zara mnie wysłał, a sam pojechał.

— Rodzic chory! — krzyknął Mikołaj.

I począł tak głośno zawodzić, że wszyscy ze stajen wylegli, a i towarzysze jego usłyszawszy jęk i płacz na podwórku, jak który stał wybiegł z izby.

Rej wciąż zawodził, latając po podwórku lub tłukąc głową o ścianę.

Towarzysze biegali za nim uspakajając, jak który umiał, *Biel* nie tracąc czasu, kazał konie szykować do podróży, co obaj Pietrkowie z wielką gorliwością czynili.

Wzdychając też od czasu do czasu, mówili.

— Nie dziwota, toć to rodzic.

— A i rodzicielkę niedawno pochował, — dodał Pietrek z Topoli.

Krzyk Mikołaja wybawił imię Psarskiego z okreconą głową i w niewieścim tołubku.

Młodzież o mało nie parsknęła śmiechem, ujrawszy sekretarza w tym stroju, a ten idąc za popędem dobrego serca, biegał za rozpaczającym i rękawem tołubka łyzy mu ocierał. Przy tej kondolencyi rozmaite sytuacje i niedokładności porannego odzienia imię pana Benedykta dawały się widzieć, co jeszcze więcej mimo smutnych wieści pobudzało do śmiechu.

Lecz imię Psarski nie widział tego.

Pocieszał wciąż zrozpaczonego, mówiąc:

— Taka kolej rzeczy, — taka kolej, — a tu katar...

Rej bowiem nie lepiej był od niego odziany.

Opończa, którą narzucił, na siebie prosto ze snu zsuwała się co chwila, ciżmy za duże pogubił z wielkiej alteracyi, wyciskając na wiosennem błocie ślady potężnych stóp swoich.

A słońko szło sobie coraz wyżej i wyżej, kładąc złociste plamy na ziemi podwórca, oblewając przesiąknięte wilgocią mury i zagładając ciekawie do wnętrza komnat zamkowych.

Zbudziło też i samego wojewodę.

I do jego uszu doszły rozpaczliwe jęki Mikołaja i kojące jego boleść głosy dworzan.

— Co zacz? — spytał pokojowca.

— Rejowi rodzic zachorzał, czy umarł, — odpowiedział tenże, podając ranny kożuszek.

— Hm... — odrzekł wojewoda i wyszedł zaraz z komnaty.

— J. wielmożny wojewoda, — szepnął Konięcki Mikołajowi.

Ten spojrział, jakby nie rozumiejąc.

— J. wielmożny wojewoda idzie tutaj, — powtórzył Konięcki.

Ocknął się Rej i oderwawszy się od drzwi stajennych o które płacząc rozbijał sobie głowę, padł do nóg Tęczyńskiego, wołając:

— Rodzic nie żyje!

— Żyje, jeno pewnikiem umiera, — ozwał się Konięcki.

— Podnieś się, mój synu, — rzekł łagodnie Tęczyński.

— Jedź do ojca, a cokolwiek wypadnie, pamiętaj, że będę się starał ojca ci zastąpić, — dodał schylając się ku leżącemu u swoich nóg Mikołajowi.

(D. c. n.)



Wyzdrowiał.

Przez otwarte okno dworku wiejskiego widać było wielki szmat błękitnego nieba, gorące aromatyczne powietrze wpływało do niewielkiego pokoju.

Jaskółki przelatywały w tę i drugą stronę. Zresztą wokoło cisza, żaden odgłos nie dochodził z łąki. Nawet kury nagrzebawszy się do woli w rozpalonym piasku, ułożyły się pod płótem i zaprzestały gdać, jakby zrozumiały, że powinny być cicho. W pokoju panuje głucha cisza, przerywa ją czasem tłumione łkanie, lub ciężkie westchnienie.

W głębi pokoju, na łóżeczku leży ośmioletni Józio, jedyny, ukochany synek niedawno owdowiałej pani Semekowej. Od tygodnia silna gorączka trawi życie dzieciny, a matka zrozpaczona czuwa dniem i nocą.

Dziecko poruszyło się cichutko. Zmieniła chłodny okład. Zbolała, pełna trwogi, drży na myśl, że właśnie na dzień dzisiejszy doktor oznaczył przesilenie choroby. Nie, ona już myśleć nie może! Gdyby tak jej dziecko... jej dobre dziecko! Wybiegła z pokoju, żeby się wypłakać — prawie się dusi, wreszcie potok łez ulżył jej zboląlemu sercu.

Tymczasem w pokoju chorego dziecka działo się coś dziwnego. Lekki powiew wiatru jeszcze bardziej rozchylił okna i orzeźwiający podmuch tchnął na bladą twarzyczkę. Chłodzący powiew muska rozpalone, zapadłe policzki, całuje przymknięte oczki, że aż się do połowy otwierają, a co te dwie niebieskie gwiazdeczki widzą, odbija się radosnem zdziwieniem, czy niemym zachwytem na twarzyczce chłopięcia.

Motylki, wspaniałe motylki bujają i unoszą się nad nim — białe, żółte, lśniaco-błękitne, złocisto-brunatne.

— Czy znasz nas, dobre, śliczne dziecko? Niegdyś zawdzięczaliśmy ci uratowanie naszego krótkiego, pięknego życia! Wyprosiłeś nas z rąk okrutnych kolegów, co chcieli nas zamęczyć na szpilki nadziei, oddałeś im swoje śniadanie: dwa ładne jabłuszka, a oni cię jeszcze wykpiłi i obili!

Złocisty snop promieni słońca wpada teraz do pokoju i rozjaśnia go przedziwnie, a jakiś brzęk i szum wesoły zbliża się do łóżeczka.

— Zzz! Zzz! — jestem dużym, czarnym żukiem, coś go niedawno wyciągnął ze stawu i delikatnie na mchu pod jedliną ułożył.

— Nigdy ciebie nie zapomnę — woła cie-



niutkim głosem, mieniąca się tysiącami barw libelka — uwolniłeś mnie z sieci pająka!

I mnie także, dobry Józiu, wyratowałeś z męczeńskiej śmierci — szepnęła cicho żabka — gdy zły człowiek, któremu nic złego nie uczyniłam, chciał mię natknąć na ostrą żerdź płotu.

— I nas także ochroniłeś, przed chłopcami, co chcieli nas schwytać i dręczyć — wołały żwawe duże i małe jaszczurki.

Zachwycony chłopczyk słuchał z natężeniem, uniósł nawet trochę główkę — z tej radości czuł się zdrowym.

Lekkie dotknięcie musnęło mu rękę, która zwiśla na krawędzi łóżka. To kudłaty pies przysiadł przy łóżku na tylnich łapach i lizał rękę chłopięcia.

— Mnie znasz dobrze Józiu. Jakże często przynosiłeś mi skórki smacznego chleba! Jak często dawałeś mi świeżej wody, gdy mię niedbały pan mój wiązał na łańcuchu przy budzie, a później w dni upalne zapominał o mnie! Jak często prosiłeś za mną, gdy starego Zagraja, chcieli bić okrutnie!

W tem słychać cudny hymn radosny mnóstwa głosów ptasich, a dziecię wszystkie je rozumie.

— Jesteśmy zięby, kosy, szpaki, i te wszystkie ptaki, które z zastawionych sieci i z rąk złych ludzi wyratowałeś, które podczas surowej zimy karmiłeś. — Mały skowronek zfrunawszy na łóżko rozpoczął wspaniałą pieśń, a pokój napełniła jakaś niewysłowiona światłość, taka łagodna, a taka jasna, że Józio szeroko oczki otworzył. Ale wtedy pierzchły wszystkie widziadła.

Chłopczyk przeciągnął się kilka razy, a główka opadła mu znów na poduszkę.

I zdawało mu się, iż w wieńcu z białego kwiecica unosiło się nad nim małe dziecię, ja kies takie urocze, jakby z światła i woni utkane. Uśmiechało się do chorego chłopczyka i mówiło słodkim głosem:

— Czy pamiętasz małą chorą dziewczeczkę, co z ojcem stanęła na waszym progu, gdy ostry mróz ścinał członki, a lodowy śnieg zasypał wszystkie drogi. Próżno błakaliśmy się od chaty do chaty, nikt nas przyjąć nie chciał, byliśmy tu obcy! Tylko ty, mały braciszku ziemski, i matka twoja daliście nam przytułek, ogrzaliście nas i nakarmili i na drogę hojnie opatrzyli, a łezki w twych oczkach, gdy nas wyprawiałeś na dalszą drogę, starczyły nam za najdroższe dary.

W niewysłowionej błogości wyciągnął Józio rączki do cudnego zjawiska, chciał coś mówić ale wszystko znów znikło, tylko złociste promienie słońca napełniały pokój.

Usiadł na łóżeczku i chciał wołać, gdy otworzyły się drzwi, wszedł doktor, a za nim cichutko wsunęła się strapiona matka. Jakże się oboje zdziwili, gdy ujrzeli Józia siedzącego z uśmiechem szczęścia na bledziutkiej twarzy.

Doktor badał puls.

Twarz jego zaniepokojona rozjaśniała się powoli.

— Zuchu mój, zuchu! jesteś uratowany! Teraz potrzeba ci tylko dużo świeżego powietrza, spokoju, a wkrótce wrócisz do zdrowia i sił.

— Uszczęśliwiona matka padła na kolana przed łóżkiem uratowanego dziecięcia i usta jej wśród łez radości szeptały słowa modlitwy dziękczynnej.

Gdy doktor opuścił pokój, dziecię zarzuciło rączki na szyję matki i szeptało: Mateczko, mateczko, wszyscy tu byli.

— Któż tu był?

Józio wzruszony radośnie, opowiedział wszystko.

— To sen był, osobliwy sen, moje drogie dziecię!

— Nie, nie, mateczko, wszyscy tu byli żywi. Jak ja ich wszystkich kocham, kocham! — wołał uszczęśliwiony Józio!

Położył znów główkę na miękkiej poduszce i zasnął snem pokrzepiającym.



Wesele u Chomika.

(Dokończenie.)

Czas w zabawie szybko leci...

Już słońeczko niżej świeci,

I gotowa też biesiada,

Do niej drużyna zasiada.

Ten kwitnący lip wierzchołek,

To pożywienie dla pszczołek,

Dla zajęczków — liść kapusty,

Wiewiórkom — orzeszek tłusty,

Złociste ziarenka pszenicy,

Chrupią inni biesiadnicy.

W leśnych dzwonekach czysta woda

Wszystkim napój i ochłoda.

A więc jedli, popijali,

Wesoło wykrzykiwali:

„Kiedy nam się pora zdarza,

Pijmy zdrowie gospodarza,

Niech nam żyje! niech wiekuje!

Jeszcze wnuki wychowuje!“

Chomik do łez poruszony

Odpowiada rozczulony:

— Bracia, wszystkim wam dziękuję,

Szczerą wdzięczność dla was czuję,

Drogich gości zdrowie wnoszę,

Dla syna o miłość proszę. —

Szczur zbierał się do repliki...

Wtem podniósł się hałas dziki,

Z wyciem, szczekaniem zajadła

Psiarnia na polankę wpadła!

B. Dyakowski.

Z wycieczek wakacyjnych.

(*Ciąg dalszy.*)

Solanki jodowo-bromowe znajdują się nie w jednym miejscu na podgórzu Karpackiem: do szeroko znanych należą Iwonicz i Rymanów w Sanockiem, Rabka w górnym biegu Raby; ostatnia posiada źródła silniejsze, przewyższające obie tamte solanki pod względem zawartości soli, jako też jodu i bromu.

Źródła rabczańskie, zarówno jak i wszelkie inne, użytkowane były najpierw do otrzymywania soli; własności ich lecznicze poznano znacznie później, zaledwie w ostatnich czasach.

Wiadomości o eksploataowaniu tutejszych źródeł sięgają w. XIII, mianowicie w dziele Długosza „Liber beneficiorum“ (Księga przywilejów) znajduje się wzmiankę iż w r. 1254 Bolesław Wstydlivy nadał przywilej klasztorowi Cystersów w Szczyrcu na otrzymywanie soli ze źródeł rabczańskich (Sal in Rabka). Z w. XVI posiadamy wzmiankę o przywileju Zygmunta Augusta, wydanego w r. 1568 Jerzemu Grossmannowi, mieszczaninowi oświecimskiemu na wybijanie szybów, z których otrzymywał solankę i następnie wydobywał z niej sól.

Zresztą z rozmaitych źródeł solnych, znajdujących się obficie w Karpatach, korzystać mogli i korzystali mieszkańcy, zaopatrując się w ten tak niezbędny produkt. Stosunki takie panowały przez cały czas istnienia Rzeczypospolitej i zmieniły się dopiero po jej upadku.

Wkrótce po zagarnięciu Galicyi, rząd austriacki zmonopolizował sól, to jest ogłosił ją na własność rządową; odtąd tylko sam rząd miał prawo kopać ją z ziemi lub wydobywać ze źródeł słonych. Wydobyta sól rząd po określonych cenach odprzedawał mieszkańcom.

Odtąd czynnymi mogły być jedynie tylko te kopalnie i warzelnie soli, które zawierały większą jej obfitość, i które rząd chciał dalej eksploatować. Wszystkie inne zasypano i zabroniono surowo kopać z nich sól lub czerpać wodę słoną, jeśli to były źródła. Przy bardziej powierzchniowych źródłach postawiono wartę, która nie dozwalała nikomu brać z nich wody.

W Galicyi najobfitsze pokłady soli znajdują się nie w samych Karpatach, lecz w położonem u ich stóp podgórzu. Tam też powstały największe i najgłośniejsze kopalnie i warzelnie soli, jak Wieliczka, Bochnia, Kałusz, Stebnik

i inne. Oprócz tego sól tameczna jest czystiejsza, posiada mniej różnych domieszek dla tego jest najbardziej odpowiednia, jako dodatek do pokarmów.

Solanki karpackie, położone w samych Karpatach, jak np. rabczańskie, zawierają stosunkowo mniej soli, a zato obok niej liczne domieszki związków jodu i bromu, psując jej smak. Z tego powodu są one mniej odpowiednie do otrzymywania soli kuchennej i dla tego rząd austriacki, po zmonopolizowaniu soli w r. 1813 pozamykał je, uważając, iż wydobywanie z nich soli jest rzeczą zbyt kosztowną. Żeby zaś zapobiedz pokątnemu jej wydobywaniu pozasypywał głębsze szyby, gdzie one były, jak np. w Rabce i obstawił je strażą. W ten sposób źródła rabczańskie przestały niejako istnieć dla okolicznej ludności, i dla tego to stały taką pustką przed 50 laty.

Ale w tem, co je zgubiło wówczas, leżała zarazem ich przyszłość; związki jodu i bromu psujące wartość soli, jako dodatku do potraw, nadawały źródłom wartość leczniczą. To też skoro tylko zwrócono uwagę na tę ich właściwość, zaczęły one znów być czynne, ale już nie do otrzymywania soli, lecz do kąpieli uzdrawiających.

Dr. Diel, profesor uniw. Jagiellońskiego, wielce zasłużony sprawie zdrojowisk galicyjskich, założył w r. 1857 komisję balneologiczną, zajmującą się sprawą zdrojowisk. Komisya ta zwróciła między innymi uwagę na zapuszczone źródła rabczańskie, a poddawszy je badaniu, przyszła do wniosku, iż posiadają one duże własności lecznicze, i że wobec tego należałoby je odkopać i założyć przy nich zakład kąpielowy.

Rozpoczęto odpowiednie starania u władz i w r. 1861 rząd udzielił pozwolenia ówczesnemu właścicielowi Rabki, Julianowi Zubrzyckiemu na odkopanie źródeł rabczańskich i na założenie zakładu zdrojowego.

Była to praca niemała: należało bowiem nie tylko odkopać zasypane źródła, ale jeszcze wybudować łazienki oraz domy na pomieszczenie chorych, którzy mieli przyjeżdżać na kurację.

To też upłynęło kilka lat, zanim zakład został otwarty i zanim zaczął być czynny. Dopiero w r. 1867 posiadał już wszystkie potrzebne urządzenia i mógł przyjmować kuracuszów.

Zjeżdżać się zaczęto nie odrazu: w pierwszym roku po otwarciu było tutaj zaledwie 120 osób. Ale odtąd, widząc dodatnie skutki kąpieli, chorzy napływali coraz liczniej i zakład rozwijał się coraz bardziej: przybywało w nim domów mieszkalnych i rozmaitych udogodnień,

a ilość osób, zjeżdżających tu na kurację, przekroczyło w roku ubiegłym 2000.

Wobec zwiększonej liczby kuracuszów, dawniejsze niezbyt głębokie źródła przestały być wystarczające. Pogłębiano je w ostatnich latach w sposób znaczny w celu otrzymywania większej ilości wody, mianowicie źródło Krakusa, jedno z silniejszych, do 22 metrów, źródło Kazimierza do 63. Z tak głębokich źródeł nie sposób już było czerpać wodę ręcznie, jak to robiono dawniej. Trzeba było postawić w tym celu silnicę (motor), poruszany elektrycznością.

Wieżę jednego z tych głębokich źródeł widać na trawniku za deptakiem. Nabytek to ostatnich czasów: nie tak dawno jeszcze można tu było widzieć dwu robotników, zajętych całymi godzinami pracowitą czynnością poruszania rękojeści od pompy, ciągnącej wodę.

Tak dużo tu zmian zaszło w ciągu lat 50: na nieodwiedzanej przez nikogo pustce powstał mały najpierw zakład kąpielowy, w którym wodę czerpano ręcznie, a do oświetlenia używano świec lub nafty. Dziś zakład się rozrósł, a króluje w nim wszędzie elektryczność: ona go oświetla, ona zaopatruje w wodę. (D. n.)



Rzewna melodia.

RZEWNA MELODYA.

W przedwieczornej miłej ciszy
O marzeń szarej godzinie,
Taka rzewna
Taka śpiewna
Z pod klawiszy
Piosnka płynie.

✱

Jak w swawolnej snów pogoni,
Ton za tonem biegnie żwawo
I kaskada
Dźwięków pada,
Wkoło dzwoni
Piosnką łzawą.

✱

W zasłuchaniu przymknę oczy
I tak w półśnie, w pół na jawie,
W onej dobie
Marzę sobie...

Kraj uroczy
W tęcz oprawie.

✱

Szklana góra, cud królewna,
Złote jabłko na jabłoni,
U stóp skały
Żak wytrwały,
A wkrąg rzewna
Piosnka dzwoni.

✱

W dal melodia mknie rozlewnie,
Złotowłosy pazik w lesie
Zbiera kwiccie,
Wianek plecie
I królownie
W darze niesie.

✱

A królewicz piękny, młody.
Najpiękniejszy w książąt rzeszy
Lotem ptaka
Gna rumaka
I przez grody
Do niej śpieszy.

✱

Ścichły piosnki rzewne tony,
Mrok się coraz niżej schyla,
Pierzchła złota
Snów tęsknota,
Czar prześniony ---
Marzeń chwila...

A. L. Szymański.



Z życia wiejskiego w Anglii. Powrót z polowania.

Nasze prawa i obowiązki.

List XI.

Kochana Zosiu. Zwlekałam z odpowiedzią bo dowiedziałam się przypadkiem, że jesteś z ojcem w Trenczynie. Liczyłam na siostrzeniczkę, jak na Zawiszę, napisze, myślałam, doniesie o wszystkim co mnie interesuje, a zwłaszcza o zdrowiu mego kochanego brata i... doznałam zawodu.

Takie to wy teraz jesteście wszystkie młode. Za moich czasów panny nie pisały rozpraw uniwersyteckich, nie rwały się do współpracownictwa literackiego ale za to korespondencye załatwiały chętnie i łatwo, pamiętam jakie foliały zabierała poczta ode mnie i moich sióstr. Z takiego listu można się było przynajmniej dowiedzieć co młoda dziewczyna myśli, co zamierza. Dziś inaczej, próżniactwo wasze wymyśliło dla swej wygody karty z bezsensownymi często rysunkami. Jakaś chuda secesyjnie wyglądająca dama zajmuje całą ćwiartkę, a tylko na brzeżku karty znajdują dopisane słowa, coś

w rodzaju: „trzymaj się ciepło“ i to ma wystarczyć ciotce która kocha swoją siostrzenicę. Właśnie taką kartę odebrałam wczoraj od Irenki i zły humor wylewam na ciebie. Nie jest to zupełnie sprawiedliwie, gdyż muszę przyznać, darzyłaś mnie zawsze dowodami pamięci, należy zatem darować ci brak listu z Trenczyna. Wyglądałam go i dlatego także, że w Trenczynie bywał kiedyś mój ojciec, a twój dziadek, znam więc tę miejscowość z jego opowiadań i byłam ciekawa czy zaszły tam jakie zmiany. Na szczęście lakoniczna karta Irenki zawierała wiadomość o przyspieszonym waszym powrocie, pragnę abys zastała list mój w Winnicy, bo mam nadzieję, że wywoła on w tobie skruchę i nie zostawisz ciotki dłużej bez obszernych o Trenczynie, a zwłaszcza o zdrowiu ojca szczegółów. Należy mi się ta pociecha z wielu względów, jestem trochę niezdrawa, gdyż upały były w tym roku bardzo męczące a ja jak wiesz, lub może nie wiesz, spędziłam lato na miejskim bruku. Między powodami które mnie do tego skłoniły był i ten, że Warszawa opustoszała więcej niż kiedykolwiek, pustki w sklepach, pustki na ulicach, co zaś najgorsza pustki w różnych instytucjach użyteczności publicznej, a bieda i choroba nie pytają o wakacje tylko zaglądają po dawnemu do suterynu. Zostałam więc, żeby było komu chorych leczyć w ambulatoryum, a nigdy chyba praca dla nędzy nie miała tego znaczenia co dziś, bo nigdy fizycznie i moralnie nie było tyle ran jak w obecnej chwili. Nie wiem jak się dzieje u was na wsi, sądzę, że i tam tętni życie pełniejszym niż dotąd pulsem, ale co w Warszawie to każdy dzień przynosi nowe świadectwo zdziczenia społeczeństwa, nawołuje do czujności nad zbiorową duszą narodu. Kilkoletnia klęska i wynikła ztąd drożyzna, wojna odrywająca od pracy ręce, które zarabiały na utrzymanie rodziny, upadek materyalny kraju, a co za tem idzie zmniejszone zapotrzebowanie pracy, wywołały przykrą atmosferę podrażnienia. Człowiek ciemny wierzy łatwo złym podszeptom, a niestety nie ma w Europie narodu, tak ciemnego jak nasz. Czyż można się dziwić objawom zdziczenia tam, gdzie powszechnym jest głód i brak najelementarniejszego wykształcenia? Dziwił raczej powinny względnie dość częste objawy uczciwości i szlachetności, a obcując dużo z naszymi biedakami spotykałam je niejednokrotnie. Są to święte iskry Boże, które należałoby rozdmuchać, aby wskrzesić wśród ludu uczucia: wiary, nadziei i miłości. „Duch Boży tchnie kędy chce“ mówił Chrystus, wszyscy wiemy, że te opatrnościowe tchnienia wywołały w godzinach niebezpieczeństwa bohaterów, którzy ratowali swoją cnotą świat od zagłady. Powiesz, ciotka zdziwaczała i może będziesz miała słusznosc, to pewna jednak że coraz niespokojniej oglądałam się dokoła siebie, coraz gorętsze modlitwy zanoszę do Boga, żeby wzbudził wśród naszego społeczeństwa legion świętych miłosierdziem dusz, dla ratowania kraju od upadku. Trzeba umieć zawładnąć masami, trzeba tym masom dać pracę i ideał, trzeba według słów Krasińskiego „wszystkim ciałom dać chleba, wszystkim duszom myśli z Nieba.“ Oto czego nam trzeba zaraz,

w tej chwili, na gwałt, a że inicjatywy wykrzesać już z siebie nie potrafię więc zrobiłam jak robi sumienny żołnierz, przetrzymałam na stanowisku mimo upałów, okrucich to, ale starą stać na okrucich tylko.

Jakże daleko zaprowadziło mnie rozdrażnienie wywołane nowemi strejkami w Warszawie, przysporzą one nędzę, kiedy opadają już ręce wobec jej zalewu. Chciałam pokrzepić zdręzczone serce listem do ciebie Zosiu, chciałam się wypytać o wszystko co was, najbliżsi moi, dytyczy i oto zapisałam ówmiarkę utyskiwaniem na dzień dzisiejszy. Oto wedle słów poety „nie ma szczęścia w domu kiedy go nie ma w ojczyźnie“ a jednak Zosiuniu, ten dom dla mnie to wy, napisz więc nie zwlekając o rodzicach, o Trenczynie, o Irence na którą niesłusznie się może skarżyłam, o Stasiu, nie zapomnij zaś dodać czy pan Karol przyjedzie na jesienne polowania.

Zbywasz ciotkę znakiem zapytania, a tymczasem doszły mnie wieści że... ale o tem potem, a teraz ściskam was z całej duszy

ciotka Zosia.



Król Przestrzeni.



Ostatnia powieść **Juliusza Verne'a**.

Przekład J. P.



(Ciąg dalszy.)

Czyż ten kapitan nie ukaże się dzisiaj wcale?... Może nie chce hym go zobaczyć?... W takim razie ma chyba zamiar zwrócić mi swobodę, gdy dopłyniemy do brzegu?... Lecz to znów wydało mi się niepodobieństwem!...

Wreszcie około drugiej po południu usłyszałem lekki szelest. Podniosła się kłapa środkowa i upragniony kapitan stanął przed nami.

Podobnie jak i jego podwładni nie zwrócił na mnie żadnej uwagi. Zbliżył się do sternika i usiadł za nim. Półgłosem zamienili ze sobą słów kilka, poczem sternik zeszedł na dół do maszyn.

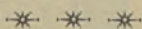
Kapitan rozejrzał się dokoła, rzucił okiem na busolę, zmienił lekko kierunek statku, posuwaliśmy się naprzód ze zwiększoną szybkością.

Kapitan wyglądał na lat przeszło pięćdziesiąt. Wzrostu średniego, barczysty, wyprostowany, włosy miał szare, krótko przystrzyżone, ręce i nogi muskularne, szczęki silne, piersi szerokie i brwi ściągające się ustawicznie. Nie nosił wąsów ani faworytów, tylko gęstą krodę po amerykańsku. Widać było, że zdrowie ma żelazne, krew gorącą, energię niezłomną.

Podobnie jak i jego towarzysze ubrany był,

I nuż dusić, gonić, chwytać,
 Ostremi zębami zgrzytać!...
 Myszki w trawie się ukryły,
 Wiewiórki wyżej wskoczyły,
 Zajęczki ruszyły w pole,
 W zoraną kryjąc się rolę.
 Chomik tylko w tym natłoku,
 Nie ustąpił ani kroku,
 Obok stanął niewzruszony,
 Kret, przyjaciel doświadczony,

Chociaż całe krecie plemię,
 Dawno zaryło się w ziemię..
 — Patrz! smutny koniec wesela —
 Rzekł chomik do przyjaciela.
 — Ach! bo na tej naszej ziemi
 Radość długo się nie pełni.“
 Wtem ich w koło psy opadły
 I obudwóch wnet zajadły...



Na polance, na zielonej,
 Już księżycem oświetlonej
 Cisza głucha. Między wrzosa
 Opadają krople rosy,
 Niby żalu łzy rzęsiste,
 Skrapiają trawy puszyste.
 Kret tam leży uduszony,
 Lecz chomik tylko zemdlony,
 Może go też kto ocuci
 I do życia znów przywróci.
 Tam gdzie gęstsze są zagaje,
 Jakiś cichy szmer powstaje,
 Wszak to szczur, nędzny kaleka,
 Czegoś szuka, na coś czeka...
 Już dopełznął tam, gdzie leży
 Chomik w jedwabnej odzieży..
 A więc na kolana pada,
 Bicia serca cicho bada...
 Głos jego tamuje łkanie:
 — Dobry panie! dobry panie!
 Tyś mnie żywił w czas zimowy,
 Zbawił od śmierci głodowej,
 Nie opuszczę cię w potrzebie,
 Radbym umrzeć dziś za ciebie. —

Wnet też pyszczkiem wodę nosi
 Omdłałego skronie rosi...
 Znowu szmery... to nadchodzi
 Syn z synową, dwoje młodzi,
 I do ojca przypadają,
 Łzy serdeczne wylewają,
 Ich miłością poruszony,
 Wstaje, jak cudem wskrzeszony,
 Zanim weszło ranne zorze,
 Chomik leżał w swej komorze.
 Kreta też nie zostawiono,
 Lecz mu pogrzeb wyprawiono.
 Imię jego nie zaginie,

Jako wzór przyjaźni slynie.
 I cóż więcej wam opowiem?
 Dziś chomik cieszy się zdrowiem.
 I choć wszystkim dola czarna,
 Znów zbiera ziarno do ziarna,
 Ogień święty w sercu kryje
 I dla dobra bliźnich żyje.

Anna Zielińska.



J. PIASECKA.

Dzielny Jędrus.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Felek i Jędrus długo przemyślivali do jakiej wziąć się roboty, aby czasu darmo nie tracić, że jednak w porze zimowej w nędznej osadzie, trudno było o zarobek, umyślili pójść do Łodzi, oddalonej zaledwie o kilkanaście wiorst.

— Zawsze tam łatwiej coś zarobić jak tu, choćby nawet nie było stałego zajęcia, to można się zgodzić gdzie na służbę lub do fabryki.

Projekt ten prędko doprowadzili do skutku, na drugi dzień byli już w mieście. Jędrus rad był z towarzystwa Felka, zawsze we dwóch różniej, a po drugie, Felek był o kilka lat starszy, sprytniejszy i śmiały. Przytem na Bałutach, przedmieściu Łodzi, miał krewniaka ślusarza.

Tam się udali, prosząc o nocleg i chwilowy przytułek dopóki się nie rozpatrzą i coś dla siebie nie znajdą.

Majster ślusarski dość obojętnie ich przyjął. — Nie rad był widzieć ubogiemu krewniakowi. Dość już zamożny, dostatnio prowadził dom, w warsztacie rzadko sam przebywał, zdając wszystko na najstarszego czeladnika. — Gdy więc Felek zapytał, czyby ich tymczasem nie chciał wziąć do roboty choćby za małe wynagrodzenie, zrobił minę niezadowoloną i rzekł.

— Co prawda, takich, co tylko kamienie tłuc umieją mnie nie potrzeba, bo kuć żelazo a tłuc kamienie to wielka różnica — darmożadów też nie mam potrzeby trzymać, kącika w kuźni wam nie pożaluję, lecz przyjęcia do roboty stanowczo odmawiam.

— A no, to w takim razie dziękuję stryjowi i za tą łaskę, prześpiemy się, a rankiem pójdziemy do miasta.

Udali się więc do warsztatu, gdzie czeladź, składając narzędzia i kończąc robotę do wciapkowała.

Wchodzących wszyscy objęli ciekawem spojrzeniem, a najstarszy, bystro na nich wejrzał i szorstko spytał.

— A wy tu czego?

— Przenocujemy tylko, pan majster pozwolił.

— No, myślę, takich jak wy, to nam tu wcale nie potrzeba! Rankiem, wynosić się co rychło: jak się czeladź zezdźie, żeby was tu już nie było, rozumiecie!

Kiwnęli głowami.

Gdy czeladnicy opuścili kuźnię, znużeni chłopcy coprędzej dopadli twardych ław i wyciągnęli się na nich. — Ciepło warsztatu, gdzie ogień prawie nie wygasał, rozmarzyło ich obu, choć twardo im było, usnęli zaraz.

Rankiem wynieśli się coprędzej, tak jak im to czeladnik nakazał i dzień cały przebiegali miasto wszerek i wzdłuż. Było im zimno i głodno, tak cały dzień na dworze, bez gorącego posiłku, ale nie tracili nadziei do wieczora.

Zagładali do sklepów, pytając czy nie potrzebują posłańców, zaczepiali stróży, czy im pomoc nie zdałaby się choć na godzin kilka, czytali ogłoszenia na słupkach.

Nie, takich jak oni, nikt nie potrzebował; patrzano nawet na nich niechętnie, podejrzliwie, niejedemu wymyślał.

— Włóczęgi, chodzą niby za zarobkiem, a patrzą, gdzieby co zabrać.

Felek pewny siebie, nie taki ambitny jak Jędrus śmiał się z tych niezbyt miłych słów, ale Jędrusia bolały i wywoływały na twarz rumieńce wstydu i łzy w oczach.

— Głupis—mówił mu Felek—jakeś w duszy czysty i spokojny, to kpij z takich, co cię posądzają, oni widać tak po sobie sądzą.

Jędrus kpić nie umiał, myślał za to, co raz częściej, jak mylnie sądził, że pieniądze łatwo zarobić, i jak ciężko jest żyć wśród obcych ludzi.

Chodzili tak kilka dni, a wynik tej włóczęgi był taki, że z węzełka Jędrusia ubył cały rubel na chleb, i że w końcu poczuł silny ból głowy, łamanie po kościach i straszną niemoc.

(D. c. n.)



Zadania i łamigłówki.

REBUS.



Dwa miejsca tylko w tym rebu-ie wymagają objaśnienia: na pierwszym miejscu u góry znajdujący się wyr. z łaciński *pulver* znaczy *proch*, a nuta przy końcu środkowego szeregu nazywa się *ut*. Reszty domyśleć się łatwo.

SZARADA.

uł. Em. L.

Pierwsze z drugim pod wodą
Strach w żeglarzach budzi
Drugie z pierwszym gromadzi
Na modlitwę ludzi.

Zadanie liczbowe.

uł. Aes dla czytelników.

Która to cyfra z szeregu pierwszych dziewięciu, mnożona przez 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19 i 20 daje różne liczby, w których suma cyfr równa się zawsze *dziewięciu*?

Rozwiązania do N-ru 35-go.

Rebusu: Utracamy wszystko, tracąc duszę.

Szarady: Kar—me—lek.

Figla: Człowiek, mający sześć łokci bardzo prostym sposobem wejdzie bez schylania się w drzwi trzyłokciowej wysokości, bo posiada dwa łokcie u rąk, jeden składany w kieszeni (miarka) i trzyłokciowy wzrost.



w kostyum marynarza, płaszcz gumowy i czapkę wełnianą.

Przyglądałem mu się bacznie. Nie unikał mych spojrzeń, lecz zachowywał się z taką obojętnością, jak gdyby na pokładzie nie było nikogo obcego. Poznałem w nim odrazu jednego z tych ludzi, którzy mnie śledzili na Long Street.

Niewątpliwie poznał mnie również. Im dłużej wpatrywałem się w tę twarz charakterystyczną, tem więcej dochodziłem do przekonania, że już ją widziałem, niegdyś jeszcze przed spotkaniem na Long-Street, tylko gdzie?... Może na jakiejś fotografii za szybą wystawową lub w biurze informacyjnym... Wspomnienie pozostało bardzo niejasne, może zresztą, było to tylko złudzenie wyobraźni...

Czy zrobi mi więcej honoru, niż jego załoga i zechce odpowiedzieć na pytania?... Muszę się przecież dowiedzieć, jakie względem mnie żywi zamiary... Chyba nie zechce pozbawiać życia?... W takim razie byłby mnie przecież pozostawił własnemu losowi w zatoce Black-Rock!... Powstałem z miejsca i stanąłem przed nim.

Spojrzał na mnie oczami płonącymi.

— Pan jesteś kapitanem? — zapytałem.

Milczenie.

— A statek ten... to *Groza*?

Żadnej odpowiedzi.

Zbliżyłem się jeszcze o krok i chciałem go schwycić za ramię.

Odrzucił mnie lekko, lecz ruch ten zdradzał siłę niezwykłą.

Podszedłem ku niemu po raz drugi.

— Powiedz mi pan, jakie masz względem mnie zamiary? — zapytałem już mniej spokojnie.

Zdawało mi się, że z ust jego, ściągniętych gniewem zerwą się jakieś słowa. Powstrzymał się jednak i odwrócił głowę, ręką oparł się o regulator.

Maszyna zaczęła funkcjonować z większą szybkością.

Opanowała mnie wściekłość. Chciałem krzyknąć: — Dobrze! milcz pan, jeżeli się tak panu podoba... wiem dobrze kim jesteś! Nazywasz siebie Królem Przestrzeni... A statek ten, to słynna *Groza*!.. Napisałeś pan list do rządu amerykańskiego i do mnie... Wyobrażasz pan sobie, że jesteś dosyć potężny, ażeby wyzwąć do walki świat cały!..

Czyżby mógł zaprzeczyć?... Inicjały K. P. widziałem na sterze.

Szczeniłem stłumiłem gniew, a wiedząc, że nie otrzymam odpowiedzi, wróciłem na dawne miejsce.. Siedziałem tam długie godziny wpatrując się w horyzont i oczekując ukazania się ziemi

ROZDZIAŁ XIV.

Niagara

Czas upływał, a w położeniu mojem nic się nie zmieniało. Sternik wrócił do rudła, a kapitan do maszyny, pomimo zwiększonej szybkości *Groza* posuwała się cicho. Ani razu nie doznałem wstrząśnień, nieuniknionych przy systemie walców. Stąd wnioskowałem, że zastosowano tutaj system kołowy, lecz przypuszczeń moich stwierdzić nie mogłem.

Płynęliśmy ciągle w kierunku północno-wschodnim, t. j. ku Buffalo. Nie wątpiłem, że staniemy tam przed nocą.

— Jakże jednak kapitan mógł się odważyć na obranie tej drogi?... Czyżby miał zamiar stanąć na kotwicy w porcie tak ludnym, wśród tylu statków rybackich i handlowych?... Wypłynąć z Erie nie może, ponieważ wodospady Niagary zagrodzą mu drogę... A może oczekuje nadejścia nocy, ażeby zbliżyć się do brzegu i przekształcić statek na samochód?..

Jeżeli podczas wylądowywania na ziemię nie uda mi się wymknąć nieopstrzeżenie, wszelka nadzieja na odzyskanie swobody będzie straconą!..

Wprawdzie zostając przy boku Króla Przestrzeni mogę zbadać, gdzie się ten dziwny człowiek ukrywa tak umiejętnie, że dotąd żadne oko wysledzić go nie zdołało! Lecz kto wie, czy on już nie wydał na mnie wyroku śmierci?... Może czeka tylko chwili odpowiedniej?..

Wschodnią część jeziora znałem doskonale, przed trzema laty bowiem z powodu ważnej sprawy spędziłem czas dłuższy w stanie New-York, między Albany i Buffalo. Wtedy zwiedziłem dokładnie wodospady, główne wyspy, leżące między Buffalo i Niagara-Falls, potem wyspę Navy i wyspę Goat-Island, która dzieli wodospad amerykański od kanadyjskiego.

Gdyby się więc nadarzyła sposobność do ucieczki znalazłbym się w okolicy znajomej. Czy jednak istotnie pragnąłbym z takiej sposobności skorzystać?... Ileż tajemnic niezbadanych przykuwa mnie do statku, na który los pomyślny — może nieprzyjazny — wczoraj mnie rzucił.

Zresztą niema co nawet i myśleć o brzegach Niagary — przecież tam popłynąć nie możemy!

Łamałem sobie głowę, dlaczego napisał do mnie ten list grożący i dlaczego śledził mnie w Waszyngtonie.. W ogóle, co go obchodziła sprawa Great-Eyry?... Za pomocą kanałów podziemnych mógł się dostać na jezioro Kirdallskie, lecz nawet przy pomocy tak niezwykłego przyrządu, jak *Groza*, nie zdoła przebyć zwartego pierścienia skał na Great-Eyry!..

Od czasu do czasu na dalekim horyzoncie widywaliśmy jakieś statki lecz te nas mijały, nie spostrzegając *Grozy*, którą trudno było zauważyć.

Tymczasem w oddali zaczęły się już zarysowywać wzgórza, tworząc na krańcu jeziora rodzaj lejka, przez który Erie wlewa swe wody do koryta Niagary. Na prawo łagodne zagłębienia urozmaicały wybrzeże. Tu i owdzie sterczały grupy drzew. Z dala dostrzegałem statki rybackie i handlowe, szalupy i parowce, ku niebu wznosiły się słupy dymów, poruszane lekkim wietrzykiem.

Ciekawość moja doszła do najwyższego punktu napięcia. Cóż zamyśla kapitan posuwając się w najlepsze, drogą ku Buffalo?.. Ciągle oczekiwałem jakiegoś sygnału do odwrotu albo do zanurzenia się w głębinę Eriel..

Nagle sternik, nie spuszczaający oczu z północo-wschodu, skinął na swego towarzysza. Ten zeszedł natychmiast do maszyn

Za chwilę na pokładzie ukazał się kapitan, podszedł do sternika i zaczął z nim rozmowę po cichu. Sternik wskazywał mu ręką dwa ciemne punkty w kierunku Buffalo, odległe mniej więcej na 5—6 mil.

Kapitan przyglądał się im uważnie, poczem ruszył ramionami i usiadł przy rudlu nie zmieniając bynajmniej kierunku drogi.

W kwadrans później rozpoznałem dwa słupy dymu, zarysowujące się na północno-wschodniej stronie horyzontu. Zbliżały się ku nam z szybkością ogromną. Nagle przyszło mi na myśl, że są to prawdopodobnie, parowce, o których wspominał pan Wells i którym powierzono ścisły nadzór nad jeziorem. Zbudowane według najnowszego systemu mogły przebyć dwadzieścia siedem mil na godzinę.

Szybkość ich jednak nie dorównywała szybkości *Grozy*, która przytem, w razie niebezpieczeństwa mogła się przekształcić na statek podwodny i ująć przed pogonią.

Parowce spostrzegwszy *Groze* pędziły ku niej o ile mogły najszybciej. Widocznem było, że chcą ją wziąć we dwa ognie, odciąć od Buffalo i wepchnąć w ten kąt jeziora, skąd niema innego wyjścia prócz Niagary. Nie wątpiłem już, że parowce te wysłał pan Wells.

Kapitan zasiadł przy rudlu, jeden z załogi zeszedł na dół, a drugi stał na przodzie statku.

Na mnie nikt nie zwracał uwagi.

Głęboko wzruszony i podniecony nie spuszczałem oka z parowców, odległość między nami zmniejszyła się do 2 mil.

Na twarzy Króla Przestrzeni malowała się wzgarda najwyższa. Wiedział, że nie grozi mu nic... Każdej chwili mógł statek swój zanurzyć w głębinę, gdzie go kule armatnie nie dosięgną.

Upłynęło jeszcze dziesięć minut. Już tylko jedna mila dzieliła nas od parowców.

Kapitan zachowywał się najobojętniej w świecie, zwiększył tylko szybkość *Grozy*, jak gdyby

chciał igrać z prześladowcami, albo, gdy noc zapadnie, prześliznąć się między nimi.

Na prawym brzegu jeziora zarysowało się Buffalo. Coraz wyraźniej odróżniałem jego gmachy, dzwonnice, elewatory. Trochę ku północy zachodowi, najwyżej o 4—5 mil, wody jeziora zlewały się do Niagary.

Co należało mi uczynić?.. Będąc wybornym pływakiem mogłem zeskoczyć z pokładu, gdy się znajdziemy między parowcami... a ztamtąd z pewnością dadzą mi pomoc.

Co prawda na Niagarze miałbym szanse dużo lepsze. Mógłbym się rzucić wpław około wyspy Navy, którą znam wybornie... Czy mogę jednak rachować na to, że kapitanowi starczy odwagi, by obrać tę właśnie drogę? Przecież wodospadów przebyć nie zdoła, nawet mając do swego rozporządzenia taki statek jak *Groza*.

Nie mogłem się zdobyć na decyzję... Co prawda, żał mi też było opuszczać stanowisko, na którym miałem możność zbadania palącej mnie tajemnicy... Nie chciałem więc rozstawać się z *Grozą* i tymi dziwnymi ludźmi!..

Było już po szóstej. Parowce zbliżały się coraz więcej. Chwila jeszcze, a znajdziemy się między nimi.

Nie ruszyłem się z miejsca. Jeden z marynarzy stał tuż obok mnie.

Nieruchomo, z oczami płonącymi, z brwiami ściągniętymi kapitan zdawał się wyczekiwać chwili odpowiedniej do wykonania ostatniego manewru.

Nagle z lewego parowca rozległ się wystrzał, kula musnęła powierzchnię wody i przeszła przed samym dziobem *Grozy*.

Wyprostowałem się. Marynarz, znajdujący się za mną spojrzął pytająco na kapitana. Ten nie odwrócił nawet głowy. Nigdy nie zapomnę wyrazu głębokiej pogardy jaką tchnęły rysy jego energicznej twarzy.

Równocześnie wepchnięty zostałem do kajuty i usłyszałem stuk zamykanej kłapy, chwila jeszcze i statek zagłębił się w wodę.

Do uszu moich dochodził głuchy łoskot wystrzałów armatnich. Potem wszystko ucichło. Przez okienko kajuty przedzierały się jakieś blade blaski — *Groza* bez żadnego kołysania się mknęła cicho przez Erie. Zdumiony byłem niesłychaną szybkością i łatwością z jaką się dokonało przekształcenie *Grozy* na statek podwodny.

Cóż teraz pocnie nieustraszony Król Przestrzeni?.. Najprawdopodobniej zmieni kierunek drogi, albo też zbliży się do brzegu i zmieni przyrząd podwodny na samochód.

Przypuszczenia moje nie sprawdziły się wcale. Po upływie najwyżej dziesięciu minut usłyszałem jakiś ruch niezwykle. Nastąpiła bystra wymiana słów urywanych. Maszyny funkcjonowały z nie-

zwykłym stukiem i hałasem. Domyśliłem się, że się coś zepsuło i statek musi znowu wypłynąć na powierzchnię wody.

Tak się też i stało. Za chwilę blaski wieczorne wpadły do mojej kajuty. Na pokładzie usłyszałem kroki, otworzono klapę... W mgnieniu oka byłem już na pokładzie. Kapitan siedział u steru.

Parowce znajdowały się najwyżej o ćwierć mili. Skoro tylko spostrzegą *Groza* znowu rozpoczną pogoń. Płynęliśmy w kierunku Niagary. Wyznaję, że kombinacy kapitana nie rozumiałem zupełnie. Stracił chyba rozum, jeżeli wybiera drogę przez rzekę, z której niema wyjścia. A może chce się zbliżyć do brzegów i uciekać lądem?.. Zresztą mógłby przecież płynąć z większą szybkością, wyprzedzić swych prześladowców i pod osłoną nocy zniknąć im z oczu, zawracając chociażby ku zachodowi.

Buffalo zostało na prawo. Trochę po siódmej ujrzeliśmy Niagarę.

Co teraz zrobi kapitan?.. Spokojny, obojętny nie raczył nawet obserwować parowców. Jezioro było zupełnie puste. Nie widzieliśmy nawet łódki rybackiej.

Niagara oddziela terytorium kanadyjskie od amerykańskiego. Szerokość jej wynosi prawie $\frac{3}{4}$ mili; zbliżając się ku wodospadom rzeka zwęża się znacznie. Przestrzeń między Erie a Ontario równa się piętnastu milom. Różnica między poziomem wód Erie, a Ontario wynosi 340 stóp; wysokość wodospadu ma przeszło 150 stóp. Wodospad nosi nazwę „*Wodospadu podkowy*“ ponieważ przypomina nieco kształt podkowy; Indianie zowią go „*Wodo-grzmotem*“, huk bowiem spadających wód podobny jest do huku grzmotu, który się rozlega nieustannie i słyszeć się daje w promieniu wielu mil dokoła. Między Buffalo a miasteczkiem Niagara-Falls znajdują się dwie wyspy: wyspa Navy o milę powyżej „wodospadu podkowy“ i wyspa Goat-Island, oddzielająca wodospad kanadyjski od amerykańskiego. Na cyplu tej wyspy, prawie nad samą przepaścią, wznosiła się niegdyś wieża *Żółwia*; dzisiaj ją zwalono wobec cofania się bowiem wodospadu, fale byłyby ją uniosły w otchłań bezdenną.

Na wysokości wyspy Navy leżą dwa miasteczka: Schlosser na prawym brzegu Niagary, Chipewa na lewym. Stąd już prąd rzeki staje się gwałtowniejszy, a o dwie mile poniżej wody spadają z wysokości 150 stóp, tworząc sławne wodospady.

Groza minęła fort Erié. Słońce chyliło się ku zachodowi, a okrągła tarcza księżycy wychylała się z mgieł południo-wschodu.

Za godzinę zapadnie noc.

Parowce, pędząc całą siłą pary oddalone były jeszcze prawie o milę. Mknęliśmy szybko

wśród brzegów, ocienionych drzewami i zielonemi równinami, wśród których bieleły się gęste dworki.

(D. c n.)



ZE ŚWIATA.

Szkoła aeronautyczna W Paryżu urządzo-
no obecnie wielki aerodrom dla nauki zwolenników żeglugi napowietrznej i w celu dokonywania prób z balonami różnych systemów, budowanych przez rozmaitych wynalazców.

W aerodromie tym znajduje się stale kilka balonów na uwięzi, które mogą się wznosić do wysokości 400 metrów

Przy aerodromie otwarta będzie niebawem „Normalna szkoła żeglugi napowietrznej“, której wychowawcy będą praktycznie i teoretycznie studyować umiejętność jazdy balonem i tak jak w innych szkołach po skończeniu studyów będą zdawali odpowiednie egzaminy, a następnie otrzymywali dyplomy.

Posiadanie dyplomów będzie dawało prawo na wstąpienie dla dostatecznego udoskonalenia się w tym zawodzie do wojskowych oddziałów aeronautycznych we Francyi. Ciekawem jest, dużo też ta szkoła będzie miała uczniów?

Człowiek o dwóch sercach. Przed dwoma laty w miejscowości New-Rochdale, w stanie Nowojorskim Ameryki Północnej, lekarz, badając w czasie choroby ubożego cieśli Alfreda Durra, liczącego obecnie 35 lat życia, doszedł do przekonania, że człowiek ten posiada dwa serca.

Od tego czasu cieśli owemu nieźle się powodzi, różni lekarze albowiem zgłaszają się ciągle dla zbadania tak niezwykłej jednostki ludzkiej i rozumie się nie pozwalają na to, aby czas zadarmo tracił.

Durr cieszy się obecnie jak najlepszym zdrowiem, co nie przeszkadza coraz nowym zgłoszeniom do niego różnych muzeów i przedsiębiorców, którzy ofiarują się z nabyciem jego ciała po śmierci. Jedno nawet muzeum osobliwości ofiarowało cieśli za „dwa serca w jednej piersi 500 dolarów t. j. około 1000 rubli ale Durr spodziewa się, że otrzyma jeszcze więcej.

Nowy rodzaj jedwabiu. Pomysłowość ludzka z dniem każdym wynajduje nowe zastosowanie różnych produktów surowych. W ostatnich latach wynalazcy szczególniejszą uwagę zwrócili na przeróbkę drzewa w celach przemysłowych.

Od dłuższego już czasu potrafiąno zastosować tkankę drzewną do wyrobu papieru i jako domieszkę do niektórych gatunków przędzy; obecnie w fabrykach angielskich przy pomocy różnych czynników chemicznych zaczęto masę drzewną przerabiać na substancję o własnościach jedwabiu.

Tkanina z tego rodzaju materiału niewrażliwa jest na działanie wody i wogóle bardzo mało ustępuje pod względem własności wyrobom z prawdziwego jedwabiu, a nawet pod jednym względem przewyższa: nitka bowiem z jedwabiu sztucznego może być zupełnie dowolnej grubości.

Jedwab sztuczny jest tak samo jak i prawdziwy, złym przewodnikiem elektryczności, daje się z łatwością farbować i nie rozpuszcza się w żadnym z płynów z wyjątkiem chloroformu.

Zapewne niedługo tkaniny ze sztucznego jedwabiu ukażą się w handlu.



ZARCIKI.



W szkółce wiejskiej.

— Powiedcie mi, dzieci, jaka pora jest najstosowniejsza do otrząsania dojrzałych owoców?

— Północ, proszę pana nauczyciela, bo wtenczas już śpią właściciele sadów?



Nieosiągalna nauka.

— Syn pański używa tego lata kąpieli?

— O, nie, w roku zeszłym poszedł raz bez mego pozwolenia i omal nie utonął. Od tej pory zabroniłem mu używania kąpieli do czasu, aż się nauczy pływać.

Od Redakcyi.

Przypominamy o odnowieniu prenumeraty na kwartał IV — dla uniknięcia zwłoki w przesyłce pisma.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: O zaćmieniach słońca i księżycy (z ryc.) przez St. Kramsztyka. — Przygody Imię Pana Mikołaja przez Z. Morawską. — Z wycieczek wakacyjnych, przez B. Dyakowskiego. — Rzeczna melodia (wiersz z ryc.) — Z życia wiejskiego w Anglii. Powrót z polowania. (ryc.) — Nasze prawa i obowiązki. — Król przestrzeni przez J. Verne'a. — Ze świata. — **Dodatek:** Wyzdrowiał (z ryc.) — Wesele u Chomika (wiersz.) — Dzielný Jędrus przez J. Piasecką. — Zadania i łamigłówki.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani L. S. Dzieło, o które Sz. Pani zapytywała jest już zupełnie wyczerpane w handlu księgarskim, zamiast niego możemy polecić następujące podręczniki: — «Zasady chemii ogólnej» przez Br. Znatowicza (str. 392, cena 2 rb.); — «Krótki wykład kosmografii» przez Aleksandra Thiemego (str. 173, cena 1 rb.); — «Dzieje ziemi czyli początki geologii» przez N. Shallera (str. 300, cena 1 rb. 50 kop.). — «Zarys geografii powszechniej» przez W. Nalkowskiego (str. 327, cena 2 rb. 70 kop.); «Botanika szkolna dla klas wyższych» przez dr. Rostalińskiego (str. 192 z 553 drzeworytami, cena 1 rb. 50 kop.); — «Zasady zoologii» przez A. Wrześniowskiego (str. 475 z 499 rysunkami, cena 2 rb; 40 kop.); — «Pierwsze zasady fizyki», Elroy M. Avery (cena 1 rb. 50 kop.

Trafne rozwiązania łamigłówek z ostatnich numerów nadesłali: Kazio Maniecki, Ukrainiec, Samuraj, Iwanhoe, Czesia z Pińska, Władysław Majewski, Jadwiga Wołodkówna, Perpetuum mobile, Zosia Malinowska i Franuś M. Zadania i łamigłówki nadesłane przez Różę bez kolców, Lwie serce i Teosia S. zaliczone są do druku.

Czesi. Już, pisze się przez «ż» a nie przez «sz».

Leonowi O. w Opatowie. Wymianę kart zamieścimy; łamigłówki — nie.

Nałęczowi. W takich zadaniach powinny wszystkie wyrazy albo mieć jednakową ilość liter albo też tworzyć jakąś prawidłową figurę. Nie zamieścimy.

iwanhoe. Do rebusów trzeba robić klisze, rysunek musi więc być bardzo poprawny, czego o przysłanym powiedzieć nie można.

OFIARY.

Na Kolonie letnie: Uczennice Żytomierskiego Maryań. gimnazjum rb. 6.

Dla biednych uczniów: Zebrane wśród młodzieży w Zieleńcu rb. 2.

Dla biednych dzieci: Stokrotka z Podola rub. 5, Staś rub. 4, Lalo rub. 1, Różyczka rub. 1, Zosia rb. 1, razem rub 12.

Ważne dla Rodziców i Wychowawców.

NOWA KSIĄŻKA Adama Szymańskiego

O Najlepszym Elementarzu Świata

Cena 50 kop.

Skład: Księgarnia Naukowa, Krucza № 44.
Do nabycia wszędzie.